

## Ljuben Dilov      Punkt Langrange'a

Zbliżały się uroczystości z okazji dziesiątej rocznicy założenia pierwszego miasta poza Ziemią. Miały to być uroczystości państwowe, bo imponujący eksperyment potwierdził oczekiwania w jak najwspanialszy sposób.

Zbyt ciasna jak stare ubranie Ziemia pękała w szwach od ludzkich ciał. Dwanaście miliardów ust ledwo łapało oddech w ścisku, a prawdziwa kolonizacja innych planet pozostawała i utopią. Panujące na nich surowe warunki wymagały całych wieków pionierskiej pracy i nieprzebranych środków - trudnych do zgromadzenia, bo nowe miliardy ludzi rodziły się, mając również prawo do dobrego życia. Pewne stare obliczenie udowodniło, że sto razy szybciej i taniej byłoby zasiedlić przestrzeń międzyplanetarną. Nie było w niej przedziwnych ciśnień atmosferycznych Wenus, nie szalały tam straszliwe burze piaskowe Marsa, nie płonął niegasnący żar Merkurego, nie padały deszcze meteorów jak na Księżycu. A martwe zimno próżni łatwo ustępowało; wystarczyło ją zagrozić odpowiednimi ścianami i słońce zaczynało dawać i ciepło, i światło, i elektryczność. W próżni kwitł ten cały nowy przemysł, który miał zapewnić byt ludności kosmicznej.

Oczywiście rzecz nie było tak prosta, jak ją przedstawiali przewodnicy po eksperymentalnym mieście. Ale po stuletnim doświadczeniu w budowie stacji orbitalnych Ziemia rozporządzała odpowiednim przemysłem, a nie istniała zasadnicza różnica w budowie stacji orbitalnej dla miliona ludzi zamiast dla stu ludzi. I nie na technicznych problemach tego miasta polegała wartość eksperymentu, lecz na problemach medycznych i społeczno-psychologicznych. Nie jacyś tam wybrani i wytrenowani kosmonauci - milion ludzi wyjechał, aby żyć i pracować stale w Kosmosie. Gdyby próba się udała, w krótkim czasie stworzono by wiele takich sztucznych planet dla dziesięciu, dwudziestu i

pięćdziesięciu milionów ludzi. Projekty takie udoskonalono w biurach konstrukcyjnych. Dlatego też pod koniec dziesięcioletniego okresu próby kosmicznej miasto roilo się od komisji naukowych, które oblażyły jak mrówki duchowe, społeczne i techniczne zakamarki miasta.

Miasto krzywiło się na ich widok, bo je niepokoiły swym natarczywym drażeniem i wypytywaniem. Było to pijane młodością, wesołe i energiczne miasto, a jego mieszkańcy mieli procy po uszy. Latali do asteroidów, rozbijali je, przetapiali w pobliskich zakładach metalurgicznych, wydobywali nikiel, żelazo, srebro i inne rzadkie metale o niezrównanej czystości, w nieprzebranych ilościach. Od kilku jut lat miasto prawie całkowicie wzięto na siebie zaopatrywanie Ziemi w podstawowe metale, przerywając ostatecznie tysiącletnie niemiłosierne grzebanie się w jej wnętrzu, zanieczyszczanie jej oblicza i oddechu. Już tylko ta funkcja miasta usprawiedliwiała w pełni wysiłek przy jego tworzeniu.

Opowiedział o tym również młody prezydent miasta kolejnej grupie dziennikarzy, która postanowiła spotkać się z nim. Kierując przygotowaniem do uroczystości dziesięciolecia uzbroidł się w konieczną cierpliwość, aby zaspokajać pełną próżnością ciekawość tysięcy gości z matki Ziemi.

- I tak, przyjaciele - powiedział po krótkich słowach wstępu. - Jak się to mówi, możecie przyciskać mnie teraz do muru i jeszcze pół godziny mną dysponować. Weźcie jednak pod uwagę, że wyniki badań niedługo zostaną opublikowane i dadzą bardziej wyczerpujące odpowiedzi na pytania, które, jak sądzę, was interesują.

Dziennikarze wiedzieli o tym i w rzeczywistości chcieli raczej podczas tego spotkania wyrazić swój zachwyt nad tym, co zobaczyli, przygotować się do pisania przyszłych reportaży. Takiego luksusu mieszkań, środków komunikacyjnych, miejsc pracy i rozrywki nie było nigdzie na Ziemi: Stworzono z miasta arcydzieło sztuki i geniuszu ludzkiej wynalazczości. Wszystko po

to, by zrekompensować stratę tych ziemskich wartości, których człowiek normalnie nie dostrzega wokół siebie, ale kiedy znajdzie się poza Ziemią, nagle czuje ich brak. Ludzie, wszyscy młodzi, łatwo się przystosowali, jakiś nowy patriotyzm zjednoczył ich w zgrany zespół, a pierwsi urodzeni tutaj obywatele już biegali po trawnikach hydroponicznych parków. Dlatego wiośnie dziennikarze bardziej podziwiali teraz wspaniały widok wokół siebie, niż słuchali, wyjaśnień prezydenta.

Z pewnością dlatego zaprosił ich na ten punkt widokowy, a nie do swego gabinetu, bo samo otoczenie usposobiało do szerszej rozmowy. Panoramiczny taras oświetlony był tylko dwoma lampionami - Księżycem i Ziemią. W jednakowej odległości od miasta Księżyc. Jaśniał cichą wściekłością odbitego Słońca, a Ziemia, dwa razy większa od niego, oddychała powłoką swej atmosfery jak jakaś pstra, krągła istota na cętkowanym gwiaździstym bruku.

- Dlaczego właśnie tutaj zbudowano to miasto, a nie bliżej Ziemi? - zapytał jeden z dziennikarzy.

Był on najstarszy w grupie, z ostrym nosem i przenikliwym spojrzeniem; w czasie objazdu miasta ciągle zadawał takie nieznośnie dyletanckie pytania i miał już przeciwko sobie wszystkich kolegów.

Prezydent miasta mógł mu odpowiedzieć, że jest to napisane w każdym gimnazjalnym podręczniku kosmologii, ale, jak powiedzieliśmy, był on przewidujący i zgromadził specjalne zapasy grzecznej cierpliwości.

- Punkt Lagrange'a. Z pewnością Pan o tym zapomniał. Jeszcze kilka wieków temu Lagrange wyliczył, że wierzchołek równobocznego trójkąta odległy dokładnie o 360 240 kilometrów od Ziemi i Księżyca stanowi punkt stałej równowagi. Umieszczone tam ciało będzie zawsze w stałym położeniu w stosunku do Ziemi i Księżyca. Jest to szczególnie ważne dla transportu, komunikacji i zegarów w mieście. Dodatkowo

stwierdzono jeszcze jedną zaletę, której Lagrange oczywiście nie mógł wtedy przewidzieć. Ten rejon okazał się najczystszy, jeśli chodzi o występowanie meteorytów i pyłu kosmicznego.

- Dziękuję - wymamrotał dziennikarz i podrapał się dwoma palcami po nosie. - Punkt równowagi mówi pan...

- Względnej - wtrącił prezydent. W stosunku do Ziemi i Księżyca.

- Tak, tak... A jak przedstawia się problem równowagi władzy? Jej trwałość?

Prezydent nie rozumiał pytania, nie zrozumieli go także inni dziennikarze, dlatego przestali się uśmiechać.

- Chcą powiedzieć: Pan jest prezydentem, a inni mieszkańcy miasta? Czy nie narosło już pewne niezadowolenie z Pana, z systemu władzy?

Prezydent uśmiechnął się promiennie, co sprawiło, że wyglądał jeszcze młodziej.

- Ze mnie chyba nie, bo jestem jeszcze nowy. Właściwie i to powinien Pan wiedzieć wcześniej. My mamy najdoskonalszy typ demokracji, jaki kiedykolwiek osiągnęła ludzkość. Każdy obywatel uczestniczy bezpośrednio, używając domowego holowizora, we wszystkich ważnych decyzjach. Nasza mola liczebność i technika pozwalają na ten luksus, na który nawet Ziemia jeszcze nie może sobie pozwolić. Co trzy lata obowiązkowo wybierane jest nowe kierownictwo z trzema prezydentami, z których jeden decyduje będąc pod kontrolą dwóch pozostałych, przy czym zmieniają się na tym stanowisku co rok. A kandydatów szukamy prawie przez lupę, bo rządzenie jest zajęciem bardzo dokuczliwym, mimo że większość funkcji prezydenta wykonywana jest przez maszyny elektroniczne...

- No dobrze - przerwał mu ostronosy. - A jakie odnosi pan korzyści z prezydentury?

- Nie ma żadnych korzyści. Są tylko obowiązki, powinność, przy

której trzeba z jakąś godnością wytrwać. To, co dostaje prezydent, dostaje też człowiek na najmniej znaczącym technicznym stanowisku. Chociaż ja, zdaje się, będę jedynym do tej pory, który wyciągnie pewna korzyść. Mam to szczęście, że za mojej kadencji wypada rocznica, tak że nie unikniecie wspomnień o mnie w swych reportażach. To znaczy, że będę sławny, i to bez jakiegokolwiek zasługi. A tak jest najprzyjemniej, prawda?

Dziennikarze roześmiali się. Ale pytający nie zauważył tego, był jakby naładowany najgłupszymi z możliwych pytań.

- A czy ci, którzy mieszkają na dolnych piętrach, nie są niezadowoleni i czy nie uskarżają się na tych, którzy mieszkają wyżej?

Ton głosu prezydenta ochłódł ledwo zauważalnie.

- Zmusza mnie Pan, abym Panu przypominał, że w Kosmosie nie ma wyżej i niżej. Nie ma na lewo i na prawo, bo, jak Pan widzi, miasto obraca się, aby stworzyć własną grawitację.

- To znaczy nie boi się Pan, że mogą Pana usunąć z prezydenckiego fotela?

- Ależ ja z niecierpliwością czekam, aż mi się skończy mandat, aby móc więcej myśleć o swoim zawodzie! Jestem specjalistą od kosmicznej metalurgii - odpowiedział młody prezydent, ale zobaczywszy wbite w siebie oczy starego dziennikarza złagodniał zmieszany. - Oczywiście, jeśli mnie odwołają przed terminem, to byłby wstyd. Będzie to oznaczało, że zawiodłem zaufanie moich współobywateli.

Stary dziennikarz wyprostował się jakby zwycięsko, zadarł swój nos, od czego zrobił się jakby wyższy.

- Taak, oto dotarliśmy do istoty mego pytania, szanowny Panie Prezydencie! Do tego "przed terminem" .

Jak Pan mówi, nie ma wyżej i niżej, nie ma na lewo i na prawo. Ale przecież pewna niemała grupa obywateli mieszka na przykład blisko instalacji zaopatrujących w powietrze. A jeśli ktoś z nich

zdecyduje się przerwać to zaopatrzenie miasta...?

Prezydent otworzył usta ze zdumienia, dziennikarze też.

- Ale... Ale dlaczego ma je przerywać?

- Aby przejąć władzę?

- E, ale... Przepraszam... - zająknął się prezydent. - Jak w ogóle przyszło to Panu do głowy? Czy słyszał Pan, żeby ktoś gdzieś zrobił coś takiego? Przecież wyjaśniłem Panu, jaki jest nasz system rządzenia? Każdy może kandydować, kiedy...

Nudziarz podrapał się kilka razy po nosie, a kiedy cofnął rękę, zobaczyli, że się uśmiechał - pierwszy raz od ich przyjazdu do miasta.

- To znaczy, że wcale się Pan nie obawia takiej możliwości? To chciałem usłyszeć. Dziękuję Panu! Nie mam więcej pytań.

I usiadł z miną człowieka zadowolonego z dobrze wykonanej pracy. Pozostali dziennikarze też nie mieli

Więcej pytań. Zdziwieni zachowaniem swego kolegi pospieszyli, aby się pożegnać z młodym, ciągle jeszcze zmieszonym Prezydentem. Wyrazili mu ze zbytnią admiracją swój zachwyt nad tym, co widzieli w mieście, chcąc zatrzeć złe wspomnienie, jakie mogłoby zostawić to jego spotkanie z nimi, i natychmiast wyruszyli na Ziemię.

Dziesięć dni później Rada Planetarna została wezwana na nadzwyczajne posiedzenie. Prezydent pierwszego sztucznego miasta w Kosmosie zażądał od Ziemi wysłania specjalnych ludzi do ochrony instalacji powietrznych. Zamiast nich wysłano nową komisję która po gruntownych badaniach referowała, że nikt i nic nie grozi instalacjom zaopatrującym w powietrze, że ich ochrona techniczna jest wystarczająca i że prezydent stracił równowagę psychiczną, prawdopodobnie z powodu kłopotów związanych z uroczystościami. Odwołano go z powodu choroby ze stanowiska i przekazano lekarzom, którzy po kilku tygodniach aplikowania leków i psychoterapii usunęli zeń ten niestosowny strach.

Obchody minęły - wspaniałe i wesołe. Razem ze wszystkimi cieszył się z dziesięcioletniej pomyślności miasta dawny jego prezydent, ale w miesiąc później na czele grupki siedmiu ludzi zamknął na parę minut główny przewód powietrza. A przez radio ogłosił, że nie puści powietrza, jeśli mu nie oddadzą natychmiast całej władzy. Miasto rzekomo potrzebowało silnej ręki, aby stłumić w zarodku te ciemne siły, które groziły jego istnieniu.

Oddali mu ją. Nie pomogły kolejne namowy i groźby z Ziemi. On, już wszechmocny władca, bo jego ludzie stali dzień i noc przy kurkach od tlenu, oznajmił, że zlikwiduje milion ludzi, jeśli Rada Planetarna spróbuje zdjąć go ze stanowiska. Później, we wzniosłej proklamacji, ogłosił niepodległość miasta i zaproponował planecie Ziemi rokowania dla zawarcia porozumień dyplomatycznych i handlowych. A jego poddani, ponieważ bali się go, ucieszyli się ze swej niezależności. I uczcili ją nowymi uroczystościami.